



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie r. s. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie zaś za pośrednictwem ustanowionej agencji, przesyłając należność do Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26.

Treść Numeru. Na Nowy Rok.—Kartka ze spostrzeżeń fizjologicznych nad artystami i pisarzami ułożona przez Edwarda Lubowskiego.—Zazdrość, moment dramatyczny przez Bogumiła Aspisa.—Przegląd muzyczny.—Przegląd teatralny.—Pamiętnik Wacławy przez Elżbę Orzeszkową.—Mąż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską.

NA NOWY ROK.

DO CZYTELNICZEK.

Na dziejowym błękitcie,
W tajemniczym rozkwicie,
Nowy rok znów jaśnieje nad nami.
Lecz zkąd znajdzie się rada,
Jak go przyjąć wypada,
Czy uśmiechem, czy prośbą, czy łzami?
O, siostrzyce i matki,
Nieście, nieście swe dziatki,
Przed oblicze tego posłannika.
Niech ich prośby ogniste,
Niech ich usta przeczyste,
Niech ich modła pierś jego przenika.
Ja tymczasem od siebie,
Jako ptaszę na glebie,
Wykapane w ożywym wód zdroju,
Niosę dla Was z swęj chatki,
Dla Was siostry i matki
Wiążkę życzeń płynących wprost z duszy:
O! jeżeli jak w burzy,
Ten rok znów się zachmurzy,
Wasz wzrok niechaj mur czarny rozkruszy.
I jak niebios posłanki,
Bądźcie niby kapłanki,
Pilnujące domowych cnót Boga.
Niech w największej zamieci,
Zawsze w sercach Wam świeci,
Jasna prawdy i miłości droga.
Z Waszych ustek różanych,
Z Waszych piersi kochanych,
Niechaj jeden śpiew płynie bez końca,
Śpiew nadziei i wiary,
Miłosierdzia, ofiary,
A zaćmicie swym blaskiem blask słońca.

Franciszek Gumowski.

KARTKA

ZE SPOSTRZEŻEN FIZJOLOGICZNYCH NAD ARTYSTAMI I PISARZAMI

ułożona przez

Edwarda Lubowskiego.

I.

Wolter powiedział, że istnieje różnica między malarstwem a muzyką i poezją, bo gdy naród jakiś może mieć śpiew sobie tylko właściwy, i to dlatego że duch języka nie zniósłby innego, malarze powinni malować naturę, która jest jedną i tą samą we wszystkich krajach. Zachodzi pytanie, czy to zdanie Woltera jest uzasadnione, a najsamprzód czy prawdą jest, że natura jest wszędzie jednaka? On sam w innym miejscu wyraża się wręcz przeciwnie, i z wielką trafnością. Jedną z osób jego utworu, anglik mówi do amerykańczyny: „klimat wasz dla was stworzony, a nie musi być zły, skoro ani pan, ani pańscy rodacy nie myślicie go porzucić. Eskimosi Islandczycy, Lapończycy, Ostjaki, Samojedy nie myśleli nigdy porzucić swojego. Renifery, których im Bóg dał ażeby ich żywiły, odziewały i ciągnęły, zdychają gdy się je przenosi pod inne niebo. Lapończycy również umierają w klimacie więcej południowym; klimat Syberji jest dla nich za gorący, a w naszej równinie spaliliby się na popiół. Oczywiście, że Bóg utworzył każdy gatunek zwierząt i roślin, dla miejsca w którym mają się rozmnażać. Murzyni, ci ludzie tak odmienni od nas, wzyli się tak dalece w swój kraj rodzinny, że tysiące z tych czarnych bydłał zabijało się w chwili, gdy nasza barbarzyńska chciwość przenosiła ich ztamtąd. Wielbłąd i struś, wygodnie żyją w piaskach Afryki. Bawół buja wesoło po tłustych łąkach, gdzie trawa ciągle się odnawia. Cynamon i gwoździk udaje się w Indjach. Pszenica zaś dobra w tych kilku krajach, gdzie ją Bóg posiał. Wy macie w całej Ameryce, inne zupełnie pożywienie. My nie możemy uprawiać winnic w naszej żyznej Anglii, ani w Szwecji, ani w Kanadzie. Bóg na całej ziemi, zastosował organa i zdolności zwierząt, człowieka i ślimaka do miejsca w którym im dał życie. Nie oskarżajmy więc Opatrzności, której winniśmy korne poddanie.”

Tak więc natura zmienia się stosownie do klimatu, lecz to nie dosyć, potrzeba powiedzieć więcej,

to jest: ze charakter i temperament, zależnymi są od klimatu i tysiąca innych okoliczności. W ostatnich czasach, liczne dzieła fizjologiczne, zajmując się artystami wszelkiego rodzaju i ludźmi pióra, obliczały najrozmaitsze wpływy, oddziaływające na ludzi tych, usposobionych wyjątkowo, obdarzonych naturą drażliwą i nerwową. Do takich wpływów policzono prócz wieku, wyciskającego na współczesnych swe piętno, jeszcze: klimat, ziemię, rasę, płeć, wiek, professję, dziedziczność fizyczną i moralną, zdrowie i przyzwyczajenia. Zanim bliżej pomówimy przy zdarzonej sposobności o tych poszczególnych wpływach, wróćmy jeszcze do jednego orzeczenia Woltera, mianowicie: „że dla ropuchy, pięknoscią jest właśnie to, że jest ropuchą.”

Spirytualiści obrzucili klątwą materializmu tę definicję, pragnęliby bowiem wychodzić zawsze z zasady *ideatu piękna*, a przecież każda rasa ludzka, tworzy sobie odrębny *ideał piękna*. Wenus hottentocka ideałem zapewne być musi dla hottentotów, tak jak Wenus grecka dla greków, wiadomo zaś jak i o ile rocznie się obie od siebie. *Stendhal* posuwa się żartując dalej, bo powiada że można by potworzyć rozliczne gatunki ideałów, i to stosownie do formy rządu. Tak na przykład mógłby być ideał konstytucyjny, republikański itp.

Ten sam pisarz w swęj *Historji malarstwa włoskiego* mówi:

„Uczeni dowodzą, że jest pięć odmian rodzaju ludzkiego: kaukazka, mongolska, murzyńska, amerykańska i malajska. A zatem według tego pięć byłoby ideałów piękna, bo wątpić trzeba, czy mieszkańiec Afryki; podziwiać będzie w Tyejanie prawdę kolorytu. Malarz znów malajski, ze swym kolorytem najpyszniej miedzianym, nie byłbyby śmieszny, gdyby chciał pozyskać względy europejczyka? Mógłby się tylko podobać jako dziwactwo.

Możeby uszanowano w nim znanie jenjusz, ale takiego jenjusza, któryby na nas żadnego nie wywierał wpływu. Toż samo zauważmy, efekt obrazów Rubensa i muzyki Händla w Neapolu. Nigdy w Wenecji, kolory tak świeże twarzy angielskich, nie wydadzą się naturalnymi. Dopiero po długim przyzwyczajeniu, gdy się już dziwić przestajemy, budzi się w nas sympatja. Koloryt albowiem, światło, powietrze, wszystko jest odmienne w tak odmiennych klimatach, i niema jednej głowy w Anglii, któraby przypominała madonny Juliusza Romano. Natury i rasy idealne, celują w rysunku natury, a rasy sensualne w kolorycie. Rafaël skromny ma koloryt, bo nie chciałby zniszczyć jasności linii, Wenecjanie przeciwnie i Hiszpanie, którym głównie chodzi o koloryt, zbliżają się do natury, a nakoniec Rubens chcący

siłą swego peźla, oddać życie w całej jego pełni, pożyczając sobie u materji, jej szorstkości prawie bujności. Rozwija on realistyczność Michała Anioła, tworząc sobie dotykany ideał. Jest raczej malarzem ciała niż duszy. Lecz choćby się niewiedzieć jak chciało krytykować jego formy zbyt flamandzkie, uczuwa się przecież, że pochwycił prawdę żywą i gorącą. Przy większym stylu, koloryt ten jego jużby się nie mógł utrzymać, bo linja nie może się nigdy pogodzić z efektem kolorytu, który właśnie jest wypływem massy. Im więcej artysta oczyszcza swe formy i idealizuje linje, tem rychlej rzec się powinien pozorowi rzeczywistości i na odwrót, im więcej dba o odcięcie prawdy materialnej, tem usilniej starać się powinien o zatarcie wydatności modelu i konturów.“

Te właściwości jenjusz, pragną fizjologowie między innemi wpływami, przypisać głównie temperamentowi. Tak naprzykład Rubensa, uważać trzeba za temperament sangwiniczny i gwałtowny. Rozlewa on strumieniami kolor czerwony, i wszędzie jako malarz ciała, triumfuje. Nawet Syrenom, nadaje pełne torsy flamandzkie. Dziewice jego, wyglądają wybornie i znamionują płodność. Wszystko u niego jasne, również wszystko pachnie świeżym ciałem. Zapewne o nim myślał *Michel* gdy mówi że Flamandzkiem potrzeba: „dziewice potężnych, świeżych, tłustych krzycząco pięknych.“ Rubensa unosi temperament. Jego *Miłosierdzie* o pięciu rzedach mamek, jego *Kiermasz* (Kermese) pozostanie chwałą kolorytu, a zarazem upojenia zmysłów.

O ileż odmiennym jest Van Dyck, będący temperamentem nerwowo-żółciowym! Marzenia melancholijne, natury swęj głęboko czującej, delikatnej, rozlewa na niebiosach zielonkowatych, prawie fioletowych. W postaciach jego, obmyślanych długo i cieniowanych z najdoskonalszą harmonją, szczegóły wyjawiają skarbnicę myśli. Najwewnętrzniejsze usposobienie, umie wyrażać skalą szczegółów na pozór nieznanych. Gdy Rubens upaja zmysły, ten zachwyca duszę, pociągając ją w rozkosze smutku, rodzącego współczucie.

Jego martyrologie z należącym do nich pejżażem, oddychają niezmierną żalobą natury, w dniu takim, jakim była śmierć Zbawiciela. Zdaje się, że sam artysta przedstawiając mękę Chrystusa, odczuł ją głęboko. Patrząc na głowę Karola I, czy nie doznajesz krwawego przeczucia, jakby skrytego po pod pozorną swobodą i elegancją najarystokratyczniejszego i najbardziej królewskiego kawalera? Widziano, jak dzieci kilkoletnie, klęczały zdziwione przed tą fizjonomją melancholijną, objaśniając ją tak, jak gdyby doskonale znały historję. Powiadają, że Ludwik XVI miał w swoim gabinecie w Tuillerach portret Karola I i że mu się przypatrywał często.... Marzenia, wizje, odzwierciadlenie podobnego przeznaczenia, którego tak samo nie mógł przewidzieć Ludwik XVI, jak Van Dyck nie przewidział losu Karola I! A jeszcze jaka tu różnica między melancholją Ludwika XVI, wiedzącego że ta głowa królewska spadła pod mieczem katowskim, a Van-Dykiem, umiejacym ją techną proroczo w te rysy. Dokazała tego jego natura nerwowo-żółciowa, dusza sympatycznie odczuwająca, i doskonałość sztuki.

Stendhal mówiąc o fizjologii zastosowanej w sztuce, powiada między innemi: malarz stwarzający Brutusa, posyłającego synów swych na śmierć, nie da ojcowi temperamentu sangwinicznego, gdy tymczasem tenże temperament, staje synom za uniewierwienie. Również jeśli malarzowi się zdaje, że pogoda jaka była w Rzymie w dniu zamordowania Cezara jest rzeczą obojętną, to nie rozumie owego wieku. W Londynie bywają dni (w październiku) w których się wieszają... Nie wszystko też jedno, czy Werther jest sangwiniczny czy melancholijny, a Lowelas flegmatyczny lub żółciowy. Miły Cassio nie może mieć temperamentu żółciowego, ale mają go żyd Szailok, ponury Jago, lady Macbeth, Ryszard III. Czysta Imogena musi być trochę flegmatyczką. Poczem znakomity ten krytyk, rozwódzi się szeroko nad żółcią i temperamentem, w których żółć dominuje, naprzykład w Michale-Aniole, Mariuszu, Stym Dominiku, Juliuszu II, Kromwellu.

Sławny malarz Eugenjusz Delacroix, podobnym był z usposobienia żółciowego a zarazem niezmiernie nerwowego Meyerbeerowi. Jerzy Sand, zaprzyjaźniona z tym artystą, od lat trzydziestu, takie rzekła o nim słowa: „Delacroix jest artystą skończonym. Pojmuje on muzykę tak doskonale, że byłby zapewne został wielkim muzykiem, gdyby nie był wolął zostać

wielkim malarzem.“ Teofil Sylvestre zaś bliżej określa tę organizację: „Atmosfera jego pracowni tak jest ogrzana, że jaszczurki żyłyby w niej szczęśliwie. Pełen ognia a zmarzluch, chodzi zawsze szczelnie otulony, tak iżby się zdawało, że się urodził na Jawie a nie pod niebem Paryża. Cera jego, wydaje się dziwną mieszaniną zielonego kwiatu oliwnego, żółtej cytryny i kawy przezroczystej. Wrażenia przebiegające nerwy jego delikatne, daleko szybciej aniżeli elektryczność po drutach telegraficznych, wzbudzają go kilkadziesiąt razy na dzień...“ Delacroix był więc artystą, od szpiku do kości, zachwycony muzyką i poezją tak samo jak malarstwem, lecz przedewszystkiem był: kolorystą.

Tenże świadek mówi dalej: Gdy Delacroix opowiada o Rubensie, iskrzą mu się oczy, przechadza się szybko, zatrzymuje nagle, porywa cię za guzik i przytłacza do ściany, mówiąc: „Rubens to król malarzy! Wielki jak Homer, ożywia tak jak on wszystko jednym pociąganiem.“

Jeśli doznajesz dreszczu czytając z *Iljady* scenę, w której poeta stawia naprzeciw siebie Achilla i Hectora, to serce ścisną się przed płótnem Rubensa, gdzie żołnierz rzymski przebijając dżdż bok Chrystusa. W tem pchnięciu tkwi pęd, siła homeryczna, której nigdy nie zapomnę.“

Delacroix, wystawiając i Rafaela, twórcy *arabeski linji*, najwyższego poetę-malarza, powraca przeciw zawsze do owej dżidy Rubensa, a to mocą swego temperamentu.

Sam, jako jeniusz patetyczny, nie przedstawiał nigdy uczuć delikatnych i łagodnych. Fizjonomją swych bohaterów, ukazuje z pomocą dziwniej jakiejś magii, po przez farby, z których każda przypomina zarazem rys energiczny natury, i namiętność duszy ludzkiej. Trzymając się między farbą niebieską a ciemno-zieloną, zaznacza nieskończoność nieba i morza, wywołuje czerwoność niby oddźwięk trąby wojennej, z pomocą zaś fioletu, wydobywa jęk głuchy. W ten sposób odnajduje w kolorystyce tony Mozarta Boethovena, i żałosny szmer Webera.

Z wszystkich tych przykładów, przychodzi się do następnego wniosku:

Oto stało się pewnikiem fizjologicznym niezaprzeczonym, że każdy człowiek ma swój, soba właściwy pogląd, tem też bardziej, każdy malarz. Przedmioty ukazują się każdemu z właściwego mu punktu widzenia, a oczy jego widzą wszystko z latami w takim kolorze.

Kto temu zaprzecza, to chyba nigdy nie obserwował. Jeden z malarzy widzi wszystko w czerwonym, drugi w niebieskim, inny w zielonym, a inny w żółtym 1). I nie dzieje się to skutkiem postanowienia reflexji, ani hazardu imaginacji, ale skutkiem faktu rzeczywistego, fizjologicznego. Każdy z nich, widzi tak a nie inaczej, więc: Rubens czerwono, Guido Reni niebiesko, Tycjan żółcisto, Van-Dyck zielonawo i fioletowo, Delacroix czerwono i zielono. Sposób podobny widzenia i odczuwania, wpływa u każdego artysty, z jego organizacji i kompleksji.

d. c. n.

1) Matějko ma również sobie właściwy, zasadniczy niemal koloryt, który stanowi charakter wszystkich jego potężnych obrazów.

ZAZDROŚĆ MOMENT DRAMATYCZNY

PRZEZ

Bogumiła Aspisa.

OSOBY:

Belcolora della Sylvia, młoda księżniczka, córka królewskiego gubernatora Sycylii.

Bianca jej towarzyszy.

Nieobecny w scenie, a wspominany *Bruno*, jest młodym patrycjuszem.

Rzecz w roku 1859.

Scena przedstawia buduar księżniczki — umeblowanie wytworne. — *Belcolora* siedzi w rannym stroju niedbale oparta na szesławgu — *Bianca* wchodzi.

Belcolora.

Signora, podaj proszę mi z okna te kwiaty — Chcę zobaczyć czy jeszcze nie zwiędły — czas leci i listki się starzeją... Szkodaby! — bogaty Taki bukiet jest rzeczą, zbyt miłą...

Bianca (przerwywając — z przekąsem).

Dla dzieci!

Belcolora.

Czy tak? — dla dzieci tylko?... (z ironią) Takich bagateli Signora-s pewno w życiu mieć wiele musiała?

Bianca.

Nie brałam ich.

Belcolora.

Czy nawet i z rąk przyjacieli? Z rąk drogich dla cię osób?... któreś szanowała, Któreś — kochała może?

Bianca (zimno).

Tych nie znam

Belcolora.

W istocie?

Mamże dać wiarę temu, co słyszę?... Signora Nie znasz, nie znałaś dotąd przyjacieli? tej cnoty Nie paliłaś dotychczas kadzideł?

Bianca.

Z upiora

Tchu ta cnota!

Belcolora.

Z upiora! — Czy to ksiądz Signorze Powiedział? Jezuita jaki? (Po chwili powstając z krzesła).

W każdym względzie

Myśl ta warta milionów — gotowabym może Oddać za nią... tak! — cały ten bukiet...

Bianca (podchwytyjąc i szybko zwracając się do *Belcolory*).

Cóż będzie.

Gdy o niego poproszę?

Belcolora.

Byłabyś zbyt srogą

Dla siebie samęj wtedy, Signora!.. W tej chwili Mówiłaś, że te rzeczy bawić cię nie mogą.. Że one bawią tylko — dzieci!

Bianca.

To też miłój

Stokroć mi z rąk Altezy każda rzecz wygląda, Niż jest w istocie —

Belcolora.

Proszę! — aż dobroci tyle!..

Bianca (wyciągając rękę po bukiet).

Więc...

Belcolora.

Niech wszakże Signora odemnie zażąda

Lepiej czego innego — wszystkiego, co w sile Mojej jest...

Bianca (z mocą).

O te kwiaty proszę.

Belcolora.

Uporczywa

Jesteś Signora! — kwiaty na cóż ci się zdadzą?...

Bianca.

Na pamiątkę po żartach Altezy.

Belcolora.

Złośliwa

Jesteś Signora!

Bianca.

Właśnie kwiaty nie zawadzą

Przy złośliwości! — Środek to dobry i — nowy Na zółć, na jad! (Zatrzymuje się chwilę — następnie zbliżając się mówi — z coraz wzrastającą mocą).

W przepyszną wazę je oprawię —

Ułożę w śliczny wieniec siedmiokolorowy, Jasny jak tęcza sama! — następnie postawię Przy łóżku je, bym mogła otwierając oczy Zrana, zaraz się niemi lubować! — co chwila Zaglądać do nich będę! — z włosów swych warkoczy Splecioną siatką wszystkie okryję! — motyla, Muszkę każdą odganiać od nich będę! — będę Wonią ich tylko dyszcć, powietrze całować

Śród którego stać będą!.. Jednym słowem, siędę
Przy nich i... choćbym sto lat miała tak pilnować
Bukietu — nie powstanę!.. O, la mia cara!
Mia Altezza! gdybym ja miała te kwiaty,
Ten bukiet! (Snieje się spazmatycznie następnie znowu —
ciszej).

..... Ta para
Róż, to jego rumieńce — rumieńce gdy szaty
Dotyka się twój, Pani! — gdy w objęciu ręki
Twój spocznie — gdy... Te czarne dwie, — to.. oczy
jego,

Oczy duże, jakimi pożera twe wdzięki,
Patrzy na piękność twoją, Pani!.. Z liścia tego
Tulipanu by można wyobrazić czoło
Białe, pogodne sobie, skryte pod kędziory
Niby tych o to włosków, co brzęczą w około
Například... tego kwiatka! — imię Belcolory
Marszczy je lub rozjaśnia!.. Z układu tych ząbków
Koralowych... tak! — usta namiętne, lubieżne
Świeże, któremi... Z centków tych, — dwa rzędy
ząbków,

Ząbków ślicznych, foremnych, białych!.. A te śnieżne
Kwiatki niechajby były już wyobrażeniem,
Czegoby tu? — Czystości jego!.. W tym znów kwie-
cie
Możnaby widzieć smutek! — smutku tego technie-
niem

Żyć! — nieprawdą?

Belcolora (z drżeniem).

Lecz o kim mówisz?

Bianca.

O bukiecie!

O bukiecie, Altezza miała!.. o kimż więcęć
Mówić mogę?.. Altezza taka zezwieniona
Jak gdyby.. Zkąd się takie na twarzy książęceć
Biorą rumieńce? (Zwraca się nagle w stronę, gdzie
stoi na komodzie lustro — bie-
rze je i szybko podbiega z niemi
do Belcolory, mówiąc:)
Proszę zwierciadło!

Belcolora.

(przyjmując lustro i machinalnie przeglądając się
w niem jakby dla zasłonięcia się przed Biancą)

Spocona,
Zmęczona jestem! (Po chwili — badając gniewem
spojrzeniem Biancę)

Książę męczą się tak samo,

Jak.. (zatrzymuje się i potem dodaje z pogardą, wraca-
jąc zarazem przez ramię lustro do odniesienia Biancy)
(zmieniając nagle ton mowy — na żartobliwy)
ich sługi!

Nieprawdą?

Bianca.

Prawda! Tylko sługi

Nie męczą się od kwiatów (Odnosi lustro — na-
stępnie grożąc z tyłu Belco-
lorze — do siebie)

Czekaj moja damo!

Wydrę ja ci to słowo z pod serca!

Belcolora.

Zbyt długi

Traktatby można o tém napisać!.. Ktoś pono
Męczył się co dopiero strasznie nad bukietem!

Bianca.

Ale się nie czerwieni! —

Belcolora.

To gorzej! Mówiono
Mi w istocie, że bardzo lubisz chlubić się tém,
Że jesteś bladą, martwą i zimną.. Zalety
Takie nikomu jeszcze sławy nie zjednały
I tobie ję zapewne nie zrobią. —

Bianca.

(Z adanym smutkiem)

Niestety!

(Potem, podchodząc znowu o parę kroków bliżej)

Tylko ja powiem znowu, że.. zawiele sławy
Robią Altezzę mojej ognie i rumieńce,
Co twarz ję kryją, kiedy.. śród jakiejś za bawy
Například ktoś się do nię zbliży.. w ję książęce
Uszki poszepecze.. chustkę podejmie z parkietu..
Liścik jaki ję wsunie.. lub — z mroku wieczora
Korzystając, do śadu z nią..

Belcolora (przerywając — z najwyższym gniewem)

Czy chęć odwetu

Az cię do tego stopnia zanosz!.. — Singora

Zapomina, że słowa te prowadzą dalej,
Niż ję jest wolno mówić do mnie! — nie pamięta,
Że ja do domu Ojca mojego przyzwali
Nie na to, by mnie miała strofować! — że świąta,
Pokora zatem bardziej ję do twarzy!

(Ciszej i poważniej)

Proszę

Przypomnieć sobie wszystko to i od téj chwili
Być — mniej dowcipną...

Bianca.

(Nachylając się przesadnie — z mocną ironią)

Modły głębokie zanoszę

O przebaczenie!.. (Po chwili — prostując się znowu —
z dumą)

Wszakże.. Altezza się myli

Zwąc mnie tylko dowcipną! (Zatrzymuje się znowu
i znów po pauzie, zbliżając
się do Belcolory i sięga-
jąc ręką za gors)

Czy Pani policzy

Tę do dowcipów, środek, jakiego użyłam,
Aby posiąść te cuda? — te skarby? — słodczy
Pełne te listki? — kwiatki uczuć? (wyciągając z za-
gorsu zwitek papie-
rów)

Oto!..

(Belcolora wydaje tłumiony krzyk i w niemocy szuka po-
za sobą oparcia — Bianca dalej z tą samą ironią)

Byłam

Pewną, że tak wykrzyknie Altezza! — że zblednie
Tak samo! że tak oczy przymruży! że będzie
Chwytać się tak za serce! — wiedziałam!

(Przeszywa ją długo triumfującym spojrzeniem — następ-
nie z półśmiechem i zapalając się coraz bardziej)
Te brednie

Cukrowane dostaną się ojcu — (Belcolora znowu wy-
daje krzyk)
i — siądzie

Zrazu wtedy powietrzny okręt na mieliznie,
Jakby go kto w nią wrąbał! — napowietrzny zamek
Altezzę runie wtedy, z szczytu się zesłiznie,
Na którym stał tak długo!.. ściany wyjdą z ramek..
Ster pryśnie.. żagle spłoną.. z masztów pył uleci..
Pęknie wszystko jak bańka jaka! — pękną szaty,
Przysięgi, obietnice i.. jak dwoje dzieci,
Zostanie się Altezza z Brunem u nóg skały,
O którą się rozbije to wszystko — u nogi
Tęj samęj podłój sługi, tęj samęj nędzniczy,
Tęj hieny, gdy mści się za wzgardę! — tęj lwicy,
Gdy kocha bez nadziei! (Zrywając się nagle ku drzwiom
O! pójdę, polecę
W świat z tym zwitkiem! — rozgłoszę po calutkiej
ziemi)

Że miałam chwilę szczęścia przezeń! Choć złość
wzniecę,

Choć jakiegokolwiek uczucie w tém sercu, co z memi,
Uczuciami tak długo swym chłodem igrało!
Pójdę! — niechaj mnie piekło prowadzi!!

Belcolora.

(zastępując ję nagle drogę)

Litości!

Signora!

Bianca (zatrzymując się --)

Czy to we śnie? — czy to mi się zdało?

Czy to mnie słuch tak ludzi tylko? —

(Belcolora cofa się znowu na dawne miejsce — Bianca
dalej:)

Belcolora

Della Sylvia o litość mnie prosi! — książęca
Mość Ję aż tak się zniża! — tak prędko?

tak wcześniej?

Kiedy dopiero tylko Ję grozę? Dziecięca
Dusza taka umiała kochać Bruna!!

We śnie! —

Czy we śnie nawet o tém mogłabym zamarzyć?

Czybym śmiała? — — Altezza moja!.. To najpro-
ściej

Żarty ze mnie! Czyż w stanieby kiedy przeważyć
Strach w kobiecie, uczucie ję własnej godności
Aż do takiego stopnia? (Śmieje się głośno)

Belcolora.

Signora!

Dosyć! dosyć na Boga!

Bianca.

Aa! — dosyć?..

(Zatrzymuje się chwilę — potem znowu)

Przypomni

Pani sobie tę scenę.. w ogrodzie.. z wieczora..
Przy księżycu... przy gwiazdach — gdy odziana skro-
mniej
Niż zwykle, — w samym prawie negliżu, — pod
drzewem

Cytrynowem siedziała z Brunem i liczyła
W objęciu jego chwile rozkoszy?.. Gdy śpiewem
Słowik was swym utulał, — kiedy was poila
Świeża woń kwiatów, — kiedy szeptały wam lśście, —
Kiedy wszystko dokoła mówiło wam głośno,
Żeście szczęśliwi?.. bo też szczęśliwi byliście!
Jam przy was stała wtedy — Okropni, zazdrośnie
Było mi wszak tem szczęściem waszem się lubować —
Gorzko widzieć, żeś piękną była.. była godną
Tego, by usta Bruna mogły cię całować, —
Aby cię jego dłonie pieścić mogły!..

Chłodno,

Zimno mi było, gdy gorąco tobie, —
Straszno... gdy tobie błogo — jednakże patrzałam
Cierpliwie na to wszystko!.. Wstrzymywałam technie-
nie

Swoje, by was nie zbudzić i.. razem słuchałam
Technień waszych — Po mej sukni błakały się cienie
Wasze.. jam suknię darła — jednakże milczałam..
Raz tylko, tylko jeden raz, kiedyście byli
Zbyt długo już związani uściskiem — w téj chwili
Zdradziłam się i cicho: „dosyć!“ wyjąkałam!
— Pani! — czyż się wtedy obeszała litościńej
Ze mną? — czyś go rzuciła? — czyś nie całowała
Jeszcze go mocniej potem? goręcej? nieznosniej
Dla mnie? — dłużej? — okropniej jeszcze!..

Zapomniała

Pani tę scenę — czy też nie dotąd?..

Belcolora.

(Pocierając rękę czoła w obłędzie — cicho i machinalnie)
Tę scenę?....

Przegląd muzyczny

Koncert Władysława Górskiego.

Mało może który koncert obudził tyle zajęcia
w kółku artystycznym tutejszem, co wystąpienie Pa-
na Górskiego. Talent który się tu wychował, tu
pierwsze studia odbywał, i wcześniej pierwsze kroki
na estradzie stawiał, wraca dziś uznanym artystą
i jako taki, przedstawił nam w koncercie swoim
owoc kilkunastoletniej samodzielnej pracy.

Nie dziw więc że zebrani na koncercie słuchacze
z niecierpliwością oczekiwali ukazania się pana Gór-
skiego, spodziewając się wiele, ale nigdy tyle, ile
artysta przedstawił. Uczeń i szkoła według której
sztukę studjował ustąpiły miejsca artyście który wiel-
kimi krokami posuwa się naprzód, aby stanąć na
wyznaniach niektórym wybranym tylko dostępnym.

Myśląc gra pana G. pobudza słuchacza do
pójścia za nim myślą i sercem, odkrywa nam niezna-
ne światy, wzrusza nas, a czyni to wszystko z pełną
świadomością siebie, bez namiętnych porównań, i dla
tego trwałe wrażenie po sobie zostawia. Niesłusz-
nym więc uważamy zarzut uczyniony artyście, ja-
koby niedostateczną posiadał ilość uczucia. Bez wąt-
pienia, gdyby uczucie mierzyć namiętnością, rzucają-
cą na wszystkie strony słomiane ognie lub rozmaza-
ną cantilene, byłoby prawdą zarzucić brak tego
u pana Górskiego. Ale nieprzyzwyczajonym do gry
w której uczucie skupione w duszy artysty, tyle tylko
udziela się na zewnątrz, ile zachodzi potrzeba, wyda-
wać się mogło że artysta mało uczucia posiada.
To samo możemy powiedzieć i o owęj wyższości le-
wej ręki nad prawą i o krótkim strychniowaniu ja-
koby niewłaściwym. Według nas tylko specjaliści
ocenić mogą, dla czego w klasycznych zwłaszcza
utworach, używać koniecznie należy owego krótkiego
strychniowania, które niewłaściwe wydały się spra-
wozdawcy. Owszem my za wielką zaletę panu G.
poczytujemy zupełną zmianę, jaką uczynił w trakto-
waniu pociągu smyczka. Znając wybornie grę jego
przed wyjazdem za granicę, za złe zawsze poczytywa-
liśmy zbyt szorstkie całymi smyczkami, tam gdzie
tego nie było potrzeba. W pojnowaniu zaś dzieł
klasycznych, pan G. uczynił skok o jakim nie ma-

rzyliśmy nawet. Gra na efekt, nerwowe drżenie, dowolne nawet przerabianie autora dla olśnienia słuchacza, oto był niebezpieczny kierunek jakiemu ulegał artysta. Dziś ma się rzecz inaczej, uczeń przyjął się innym szlachetniejszym wzorom i rozpoczął reformę, a okazał ją zaraz na początku w koncercie Rodego, który wykonał *zupełnie* inaczej jak lat temu kilka będąc uczniem, a zatem niemającym swego zdania. Szacunek jaki widniał w artyście dla dzieła, poświęcenie niemal osoby swojej, przejmujące słuchacza uznaniem dla grającego. Kadenza utworu pana G. dopełniła miary sympatii, jaką do gry jego uczuwa się stopniowo; nie ubiegał się w niej artysta o efekt, ale starał się utrzymać w charakterze koncertu, co mu się zupełnie powiodło. W kadenzy pan G. wypowiedział zdanie swoje o koncercie i do podzielenia tego zdania słuchacza znievolił.

Unikanie widoczne wibracji, a raczej mierne jej używanie w miejscach koniecznych tego wymagających, także do zalet gry artysty tego zaliczamy.

Większa ztąd tworzy się dojrzałość, męskość a jednocześnie i rozmaitość tonu.

Uczuliśmy to w Warcjach Mozarta, które pan G. oddał z pełnym spokojem, ale razem w tym spokojem kryła się głęboka czucia i ekspresja, mówiącej do słuchacza każdym tonem, passażem lub okresem. Rzechy można że artysta dzieło wykonywane podzielił w swojej myśli na zdania, z których każde samoistnie stanowi całość, łącząc się ciągle w spójny łańcuch z następnymi zdaniami, nie sprawiając zamętu w duszy słuchacza.

Czasami tylko jedno z nich wybija się nad inne, prosząc się niejako o spamiętanie jak *np.* Pierwsza część Menueta Mozarta, którego wykonanie przyniosło zaszczyt artyście i znievoliło ostatecznie słuchaczów, do objawienia nieklamanych objawów sympatii, uznania i zachwycenia. Dla nas jednak najwyżej się wzniosł artysta w Chaconne Bacha.

Powierzenie całości dzieła jednym tylko skrzypcom, grozi niebezpieczeństwem zniknięcia w sali koncertowej. Pomimo nawet tego że znaleźliśmy całą wartość tego utworu obawialiśmy się czy wyjdzie on zwycięsko z próby? Wielcy nawet artyści uciekali się w tym razie do interwencji fortepianowej, który wypełniając harmoniję zacierając jednak znakomitą ilość szczegółów na czem autor tracił, grający zyskiwał. Znaleźli się jednak i tacy którzy przejęli całą dla starego mistrza, nie wazili się zmieniać potężnych myśli jego i grali Chaconne tak jak pierwotnie Bach ją napisał. Między nimi głównie odznaczyli się: Vieuxtemps i Joachim. Pan Górski poszedł w ich ślady i nie tylko zwycięsko, ale świetnie wywiązał się z zadania. Nadał przedewszystkiem temu dziełu cechę powagi, która zmuszała do pełnej poszanowania baczności, w szczegółach zaś rozwinął tyle rozmaitości, że poprowadził za smyczkiem swoim myśl słuchacza, zawładnął nim, podziwiał kazał jednocześnie i dzieło i wykonanie mistrzowskie, a im bardziej pod wpływem dzieła zapalał się artysta, tem żywiej i słuchacz oddziaływał mu całą swoją istnością. Pan Górski więc wygrał walną bitwę na korzyść klasyków, za co mu szczerze wdzięczni jesteśmy, gdyż przyczynił się do wyrobienia smaku publiczności naszej. Oby coraz więcej było u nas takich pracowników! I sztuka i publiczność zyskałyby na tem.

Koncert zakończył się wzorowym wykonaniem Sonaty Tartiniego, najeżonej wielkimi trudnościami. Może ona z pod smyczka p. G. wyszła nie tak efektywnie jak u innych artystów, ale za to ręczyć możemy że wyszła wiernie, bo artysta tak w tej Sonacie jak i w innych utworach, przedewszystkiem trzymał się oryginałów starych wydań, bo pragnie z całą sumiennością przedstawić autora. Dla tego nie podzielimy zdania jakie u kilku artystów słyszeliśmy, że w miejscu gdzie ów sławny tryl przychodzi, należy cały ustęp zwolnić dla uwydatnienia trylu i że to najznakomitsi czynili skrzypkowie. Sądźmy że Tartini pragnąc tego napisałby: „Meno mosso“ lub „rallentando“, nieuczyniwszy zaś tego, okazał że należy trzymać się tempa, i zapewne sam w ten sposób wykonywał.

Pan Górski i tu pragnął okazać się samodzielnym i nie trzymał się ani tradycyjnych wykonaw, ani, co ważniejsza, przeróbek, i tem właśnie zasługuje na pełne uznanie.

Witamy więc nowego a dzielnego pracownika, na tem trudnem a wzniosłem polu sztuki, witamy go

tym serdeczniej, że to tutejsze dziecko, że najważniejszą część swoich studjów odbywał między nami, dając tem dowód że prawdziwy talent wszędzie się wzniesie, byle tylko był wytrwałym w pracy.

Na koncercie pana G. poraz drugi wystąpił kwartet wokalny pod przewodnictwem pana Stättlera.

Ośmieleni amatorowie powodzeniem i zachętą, otrzymaniem na pierwszym swym występie, z większą odwagą a zatem i precyzją, wykonali 2 śpiewy. Miła to rzecz widzieć ośmiu młodych ludzi, garnących się pod sztandar sztuki z zapałem i wytrwałością.

Zyczymy całemu sercem ciągłego postępu i powodzenia temu gronku śpiewaków.

Zyczymy również wszystkim młodym ludziom, aby wstępowali w ślady kwartetu pana S. Sztuka zyskałaby wielu adeptów i stałaby się popularniejszą aniżeli dotąd.

Wielki koncert na korzyść uczni tutejszego Konserwatorium odbył się wreszcie. Ściągnął on licznych słuchaczy, bo najprzód zaciekał wszystkich wybór sali, a potem umiejętna reklama i dobór osób występujących, niemało także obudziły ciekawości. Zdając sprawę z tego koncertu przedewszystkiem zwracamy uwagę na orkiestrę, która przeważnie prowadzona przez Dyrektora Konserwatorium, wzięła sobie za normę grać bez cieniowania. Wielką tu przeszkodą było dla artystów orkiestry, przyłączenie dla powiększenia liczby, uczniów klasy skrzypcowej, którzy nie mając rutyny potrzebnej do zbiorowego grania, niekorzystną dystrakcją, tylko sprawiali.

Śpiew dwojga amatorów pani Wilgocekiej i pana Reszke wiele uświetnił ten sympatyczny dla celu swego koncert. Piękne głosy i dobra szkoła, uwydatniły się u obojga amatorów.

Wdzięczni jesteśmy za poznanie nas z duetem Thomasa z Hamleta. Ale pani W. osobliwie dziękujemy za piosenkę Nowakowskiego, która o ile pamiętamy od 10-ciu lat leżała pokryta pyłem zapomnienia. Pan Reszke w arii z Don Carlosa uwydatnił wszystkie zalety głosu i metody wzorowej. Żałujemy tylko że nie wybrał czegoś, większą mającego wartość muzyczną.

Sądźmy jednak że większa w tym razie wina nauczyciela, gdyż na nim leży nadanie właściwego kierunku muzycznego i gustu uczniowi.

Pan Karłowicz, znany gdzieindziej jako artysta — autor, wzorowem i estetycznem wykonaniem Nokturnu Chopina, zjednał sobie sympatię publiczności. Dwie najzdolniejsze uczennice klasy fortepianu t. j. panna Witkowska i Kątska, z dokładnością wykonały koncert na 2 fortepiany Brzowskiego. Piękna to bez zaprzeczenia kompozycja, znać na nią jednakże epokę w której pisana była. Mianowicie zwróciliśmy na to uwagę w zakończeniach frazesów jednokowych i przestarzałych.

Oddajemy jednak pochwały dobremu obrobieniu części orkiestrowej, w czem pan Brzowski zawsze celuje. Pan Janota elegancko odegrał trzy swoje drobne utwory, a chóry Konserwatorium pod umiejętnym kierunkiem pana Studzińskiego, którego zasłużoną pracę znać za każdym występem, z precyzją oddały 2 numery. Co do koncertu Mendelsohna to otwarcie wyznajemy, że jeżeli głośny i niefortunny akompaniament orkiestry, usposobił nas niewesoło, to cóż mówić o artyście grającym partję solową? Pan Górski widocznie czuł ten brak spójni między sobą a orkiestrą, bo choć dokładnie oddał to co należało, grał jednak nie z ochotą i jakby pragnąc skończyć jak najprędzej i to zapewne tłumaczy nam niezwykłą szybkość Finału.

Czuliśmy intencję artysty, który osobno wzięty był wybornym i dla tego radziłyśmy usłyszeć jeszcze ten koncert, grany przez pana G. ale pod innym kierunkiem.

Dla ścisłości sprawozdania dodamy w końcu, że Deotyma przedłużyła i tak już długi koncert wypowiedzeniem swojego wiersza p. t. Pieśń na dwa głosy.

N.

Przegląd teatralny.

Ostatnie bożyszcze dramat w jednym akcie, przerobiony z francuzkiego pp. E. Lepine i A. Dandet z muzyką St. Moniuszki przedstawiony raz pierwszy d. 28 Grudnia b. r.

Jakkolwiek treść tego dramaciku, zajętego jedynie walką nieograniczonej wiary kochającego męża z zawodem i boleścią zdradzającej żony, nie daje zbyt efektownego wątku, co by go stawiał na stanowisku wielkiego dramatycznego naprężenia, ma jednak tę zaletę, że nie przekracza w niczem granic prawdy i nie grzeszy jaskrawością słowa i położeniem scenicznych, tej istotnej kontrabandy przeciw moralności i oglądzie towarzyskiej. Nieprzychyleni do czujnej na to baczności, nie dziwnego że kładziemy to na karb zalet co jest koniecznem i niezbędnem, co zachowywanem bywa zarówno przez każdego szanującego siebie autora, jaki scenę stojącą na wysokości swego zadania.

Do Dramatu wchodzi tylko dwie osoby: mąż i żona. Pan Ambroix mąż (p. Rapacki) jest to starzec przeszło sześćdziesiątletni, który przed jedenastu laty zaślubił dwudziestoletnią Gertrudę, (pani Palińska) mogącą naturalnie być jego córką nie żoną. Mąż uważa żonę swą za ostatnie bożyszcze, pozostaje ale ze szczątek wszystkich ulud, jakich go pozbawiła rzeczywistość życia: kocha ją z całym zapałem, ufa w jej miłości z nieograniczoną wiarą, ciesząc się szczęściem jakiego bez przerwy doświadcza. Gertruda jednak nie jest bez winy.

W domu tego małżeństwa znajdował się wychowaniec czy pupil pana Ambroix, kochany jak syn, co jednak nie przeszkodziło do zawiązania miłości między nim a młodą Gertrudą. Pan Ambroix nie wie o tem, żona staczając z sobą walkę przez lat osiem, męcząc się, mordując, zdobywa się wreszcie na poświęcenie. Młodzieniec wyjeżdża w dalekie strony świata, Gertruda pozostaje z mężem i pamięcią swojej miłości, oddając się całą duszą praktykom pobożności i miłosierdzia. Smutek, nastrojenie się do nawyknień i humoru męża, wybornie oddane przez artystkę, nie opuszcza jej odtąd na chwilę. Mąż cieszy się i rozkoszuje, ostatnie bożyszcze oświeśla mu pełnym blaskiem resztek życia, chylącego się już ku zachodowi. Ale cóż trwałego, na świecie? — Zawody to tkanka życia ludzkiego, nieodłącznego towarzysze zarówno w skromnej chatce jak i w pałacu przepychem ustrojonym. W czasie pobytu żony na nieśporach, p. Ambroix z przesyłki pocztowej do żony jego adresowanej, dowiaduje się o wszystkim. Rozpacz, boleść miota starcem: ostatnie jego bożyszcze zrzucane z piedestału wala się w prochu zdruzgotanej wiary. Między małżeństwem następuje scena wyrzutów z jednej strony, a z drugiej nieograniczonego żalu za przeszłość. Jakaś straszna katastrofa wisi na włosku, jeszcze chwila a z całej przeszłości posypią się gruzy co rozdzieli małżonków na zawsze. Mąż oszalały rozpaczą, wybiega na miasto; modlitwa pobożnego ludu oprzytomnia go, żal szczerzy żony, staranie własną jej ręką węzłów grzesznej miłości przywołuje w pomoc anioła przebaczenia, i zdradzony mąż skruszony w swem uniesieniu wraca do domu, przybity boleścią, ale spokojny, zapominający wszystkiego.

Jakkolwiek talent p. Rapackiego nie zdaje się odpowiadać wysokiemu nastrojowi dramatycznemu, i właściwszym jest dla postaci czysto charakterystycznych, przyznać jednak można z całą szczerością, że w roli p. Ambroix prawie stanął na wysokości swego zadania. Powiadamy *prawie* gdyż dobroduszość tak właściwa do chwili wyjścia Gertrudy z domu, w następnej z nią scenie powinna już przybrać inny charakter, mieć tło lekkiego szyderstwa, połączonego z goryczą miotającej nim rozpacz. Brak tego był cokolwiek rażący, przemknął się wprawdzie szybko, nie uszedł jednak uwagi baczniejszego widza. Staranne przecie opracowanie, wystudowanie roli w najsubtelniejszych szczegółach, utrzymanie się w jej charakterze przez cały przebieg dramatu, godne uznania i najwyższej pochwały. Taka staranność nie będzie daremną, praca i usilność tworzą cuda, a pan Rapacki jako młody ma długą przyszłość przed sobą, za którą przeszłość już chlubnie bardzo przemawia.